

Gdy dostrzegamy w otaczającej nas rzeczywistości zbyt dużo szaroburych barw i widzimy tylko ponure twarze przechodniów, a na dodatek pogoda za oknem nas nie rozpieszcza, czas by odpocząć, najlepiej w zupełnie odmiennych klimatach. Hiszpańskie Baleary nadają się do tego znakomicie.

Wyjazd na Majorkę planowałem już zimą. Wtedy można kupić dużo tańsze bilety za jakieś 300 zł w obie strony i zarezerwować niedrogi nocleg, który nas wyniósł 10 EU za osobodobę w samym centrum rozrywkowej dzielnicy El Arenal koło Palmy. Przyłączyło się do mnie dwóch znajomych, Krzysiek i Mirek, których poznałem na sylwestrowym wypadzie na Czarnohorę. Tym razem mieliśmy skonfrontować stereotypy plastikowo-geriatrycznej wyspy, skomercjalizowanej i zatłoczonej przez niemieckich turystów z opisami kilku globtroterów, którzy na portalach turystycznych pokazywali Majorkę jako wspaniałe miejsce do górskich wędrówek, z dzikimi, bezludnymi zatokami, gościnnymi ludźmi i wspaniałą kuchnią lokalną. Oczywiście ta druga wizja bardziej nas pociągała i jak się okazało była prawdziwa.

W ostatni dzień przed wylotem zdecydowałem się też na wynajęcie on-line samochodu na cały nasz tygodniowy pobyt prosto z lotniska. Dzięki temu bez problemu dotarliśmy do naszego hotelu i jeździliśmy sobie po wyspie wzdłuż i wszerz każdego dnia. Koszt wynajmu małego auta z silnikiem diesla na 8 dni to jakieś 500 zł, do tego zapłaciliśmy 40 EU za dodatkowe, rozszerzone ubezpieczenie dla 2 kierowców i 90 EU za pełny bak ropy.

Po rzuceniu bagaży w pokoju pospiesznie udaliśmy się na plażę, by poczuć się jak na wakacjach. Od niewygodnego kimania w samolocie złapałem jakiś ból w łopatce i leżenie na wznak na piasku nie było zbyt przyjemne. Na szczęście nie wiadomo skąd napatoczyła się azjatycka masażystka, która za 10 EU skutecznie wyzwoliła mnie z cierpień po kilkunastu minutach masowania pleców. W taki oto sposób zacząłem swoją przygodę z Majorką. Dalej miało być i było coraz lepiej i ciekawiej.

Wieczorem pojechaliśmy do Palmy, stolicy tej autonomicznej wyspy. Tuż przy głównej drodze stoi pięknie oświetlona katedra z tryskającą przed nią okazałą fontanną. Jednak samo miasto było opustoszałe, choć zbliżała się dopiero dziewiąta wieczorem. Wydawało nam się, że o tej porze ludzie będą tłumnie wysiadywać na placach i ulicach, a tu takie pustki. Co prawda była majowa środa, zwykły roboczy dzień, ale mimo wszystko było to zaskakujące, choć ja nie narzekałem, gdyż nie przepadam za tłumami. Zapewne w pełnym, letnim sezonie na ulicach jest tu tłoczno i gwarno. Póki co przechadzaliśmy się po mieście oglądając nocne iluminacje budynków, placów i mostów.

Chcieliśmy też zajrzeć do jakiejś fajnej knajpki, ale nie udało nam

się znaleźć nic ciekawego, a sporo lokali było po prostu zamkniętych. Wróciliśmy więc do Arenal, gdzie wylądowaliśmy na megaimprezie w popularnym Mega Parku, obleganym przez Niemców. Główną atrakcją lokalu są tańczące na stołach dziewczyny w skąpych strojach. Płyną tam hektolitry piwa, z głośników leci popularna muzyka, wszyscy śpiewają, przyłączają się do tańców na stolikach, stukają się kuflami, klaskają po nawoływaniach didżeja – Put Your Hands Up! Trzeba przyznać, iż mimo początkowych uprzedzeń, zabawa się na tyle rozkręciła, że przestaliśmy liczyć kolejne kufle wypitego piwa, czasem nawet podśpiewując po niemiecku. Głodni, spałaszowaliśmy też w iście germańskim stylu po ½ meter bratwurst, czyli hotdoga z białą kiełbasą półmetrowej długości i o 4 nad ranem wróciliśmy do hotelu śpiewając po drodze dla odmiany polskie pieśni biesiadne, nie wyłączając kolęd i dopingów piłkarskich.

Następnego dnia udaliśmy się na późne śniadanie do baru Gaucho, gdzie zamówiliśmy Menu Dia, czyli zestaw dnia z dwóch dań za 7,5 EU. Nikomu się tu nie spieszyło, ani nam, ani obsłudze. Po prostu manana. Posmakowało nam na tyle, że zaglądaliśmy tutaj jeszcze kilka razy podczas naszego pobytu, mimo, że obsługa za grosz nie znała angielskiego, a potrawy z hiszpańskiego menu braliśmy w ciemno.

Przez kolejne dni jeździliśmy po wyspie wynajętym autem, a wieczorami zaglądaliśmy do licznych lokali w El Arenal, z których najbardziej polubiliśmy holenderski pub, gdzie namiętnie kosztowaliśmy szoty tequli. Tak o to łączyliśmy poznawanie wyspy za dnia z jej nocnym obliczem.

W ramach dziennych eskapad najpierw udaliśmy się na północ do Valdemossy, gdzie przebywał Fryderyk Chopin z George Sand. Niestety poza pianinem zachowało się tu niewiele pamiątek po tym światowej sławy polskim kompozytorze, gdyż kazano jego większość rzeczy spalić w obawie przed gruźlicą, na którą artysta cierpiał. W klasztornej celi, w której mieszkał onegdaj Chopin obecnie urządzono skromne muzeum. Samo miasteczko ma przytulny klimat i warte jest dłuższego pobytu, by chociażby poszwędać się jego wąskimi uliczkami i zajrzeć do wielu intrygujących, ukwieconych zaułków.

Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża dalej na północ. Zatrzymaliśmy się na trochę w El Port Soller położonym nad zatoką z dwoma latarniami morskimi po obu stronach wejścia do portu. Potem krętymi, górskimi drogami dotarliśmy do Sa Calobra, uroczej zatoki z niesamowicie przejrzystą wodą na kilkanaście metrów. Szkoda tylko, że już zapadał zmierzch, bo zaczęło robić się chłodniej i nie zdecydowaliśmy się na kąpiel. Na mapce wypatrzyliśmy jeszcze jedną zatoczkę w pobliżu i tam właśnie chcieliśmy złapać zachód słońca. Gdy do niej dojechaliśmy okazało się, że to był dobry pomysł. Malutka plaża, jakaś chałupka na brzegu i dwóch dziadków gadających przy winie nie wiadomo o czym. Musiałem zanurzyć się w końcu pod wodę z maską i rurką, by poznać

także podwodny świat Majorki. Niestety temperatura koło 15 stopni skutecznie zniechęciła do kąpieli moich współtowarzyszy. Mi natomiast udało mi się znaleźć martwą, czerwoną rozgwiazdę, która była moim pierwszym trofeum z Majorki. Suszyła się potem przez kilka dni na naszym hotelowym balkonie.

Jadąc południowym wybrzeżem warto zobaczyć naturalny łuk skalny Es Pontas, niedaleko Santanyi. Koniecznie też trzeba zajrzeć do białego miasteczka D'Or, a miłośnicy latarni morskich, do których się zdecydowanie zaliczam, powinni też zboczyć z głównej trasy na wschód do Portokolom. Tego dnia dojechaliśmy, aż do Porto Cristo, by zwiedzić słynne jaskinie, ale niestety ostatnie wejście było o 17.00 i spóźniliśmy się dosłownie kilkanaście minut. Postanowiliśmy zatem udać się na przylądek Formentor, co zamieniło się w pogoń za słońcem. Chcieliśmy zdążyć dojechać na koniec cypla, do samej latarni zanim słońce schowa się za horyzontem. Po drodze zatrzymaliśmy się dosłownie tylko na kilkanaście minut w Port d'Alcudia, by zapytać się o promy na Minorę, które stąd odpływają. Sam Formentor o zachodzie słońca okazał się jednym z magicznych miejsc na wyspie. Brakowało nam słów, by opisać to co widzimy. To było po prostu... epickie.

Wycieczkę następnego dnia zaczęliśmy dopiero po 13.00, po intensywnym wieczornym melanżu w klubach. Dojechaliśmy jedynie do jaskiń Porto Cristo, które można fotografować, co daje świetne efekty, gdyż wiele grot jest podświetlanych najróżniejszymi kolorami lamp. Przy jaskiniowym jezioru odbywa się pokaz filmowy na skałach połączony z koncertem dzieł Mozarta w doskonałej akustyce naturalnego wnętrza. Położona parę kilometrów dalej Coves Del Drach, czyli Jaskinia Smoka jest dużo większa. Znajduje się tam jedno z większych jaskiniowych jezior, po którym można popływać łódką. Niestety nie można tutaj w ogóle robić zdjęć, nawet bez flaszki i za dodatkową opłatą. Pozostaje jedynie pamięć niecodziennych wrażeń. Wewnątrz znajduje się też sala koncertowa, w której oczywiście można posłuchać utworów Mozarta. Chyba dlatego, że gros turystów na Majorce stanowią Niemcy. Cenię tego austriackiego kompozytora, ale dla odmiany mogliby chociaż puścić dzieła Chopina, bardziej chyba związanego z samą Majorką.

W jaskini spotkałem Polaka z Danii, który przyjechał się tu powspinać, ale ani on, ani jego duński towarzysz nie słyszeli o łuku Es Pontas, który uchodzi za największą atrakcję wspinaczkową wyspy. Poleciałem im także klify Formentor, choć ja nie miałbym zapewne odwagi na nie się wspinać. Wolę podwodną przygodę. Niestety ceny nurkowania na Majorce to najmniej 100 EU za dzień, co po dość intensywnym clubbingu i uruchomieniu po 4 dniach pobytu rezerw z karty kredytowej, wydawało mi się zbyt wygórowaną kwotą. W zamian za to kupiliśmy bilety na niedzielny rejs na Ibizę za 65 EU w obie strony liniami Balearia.

Prom wypływa z Palmy do Eivissy (Ibicy), stolicy wyspy o tej samej

nazwie, której największą atrakcją poza przyportową dzielnicą jest obwarowana twierdza z zamkiem. Po prawie 3 godzinnym rejsie, przy zejściu z promu moi współtowarzysze zostali zatrzymani przez policję do osobistej kontroli z podejrzeniem o posiadanie narkotyków. Wyglądali co prawda na niewsypanych i oczy im się uśmiechały widząc upragnioną Ibizę, ale to nie powód by ich brać od razu za narkomanów. Policja jednak musi robić swoje, ma procedury i ostatecznie po kilkunastu minutach znów byliśmy w komplecie, by zdobyć tę ponętą wyspę.

Ruszyliśmy na zamek, skąd roztaczają się wspaniałe widoki na całe miasto i otaczające je morze. Potem udaliśmy się na dworzec autobusowy, skąd dojechaliśmy do Sant Antoni De Portmany. Samo miasteczko nie zrobiło na nas większego wrażenia. Jedynie naszą uwagę zwróciło Jajko Kolumba na klombie jednego z rond oraz dziewczyny w topless na plaży. Niegdyś było to miejsce hucznych balang młodych Brytyjczyków, którzy przyjeżdżali się tu wyszaleć, ale po narastających dewastacjach władze postanowiły ukrócić tę samowolę i wprowadziły zakaz picia alkoholu poza lokalami. Dzisiaj więc widok wałęsających się po plaży, podpitych młokosów z piwkami w ręku należy do rzadkości.

Przeglądając mapkę Ibizy wybraliśmy sobie dwie pobliskie zatoczki na plażowanie, gdzie dojechaliśmy taksówką za 15 EU. Pierwsza z nich to Cala Bassa z lazurową wodą i pięknymi dziewczynami na plaży opalającymi się oczywiście topless. Tu polecam snurkowanie wzdłuż skalnego wybrzeża. Sporo ryb, przejrzysta woda, białe, piaskowe dno. Stąd udaliśmy się piechotą wzdłuż wybrzeża, jakieś 4 kilometry do Platges De Comte, mijając po drodze okazałe klify, cypel z wieżą Punta de sa Torre i podziwiając z góry wspaniałe widoki na lazurowe morze i wcinające się w ląd małe zatoczki.

Platges De Comte to kolejne cudowne miejsce na Ibizie, gdzie wśród sukulentów przebiegają liczne jaszczurki, a uderzające w skaliste nadbrzeże fale rozpryskują się efektownie wokół wzbudzając w nas niepohamowaną wolę zmierzenia się z tą naturalną siłą. Tak więc braliśmy na klaty i twarze uderzenia fal starając się utrzymać na śliskim nadbrzeżu. Na jednym ze zdjęć z tego miejsca widać w rozbijającej się o brzeg fali jedynie zarysy naszych sylwetek, jakby nas ta siła wody pożerała przed ostatecznym rozpryskiem.

Podobno główną atrakcją tej rozrywkowej wyspy są nocne kluby, nawet na 10 tysięcy osób, ale my musieliśmy wracać na prom na Majorkę, a melanży i tak mieliśmy pod dostatkiem w El Arenal. Choć na pewno Ibiza jest takim miejscem, gdzie warto przyjechać na dłużej.

Kolejnego dnia samotnie udałem się na Minorę, a Krzysiek z Mirkiem

zabrali nasze sąsiadki z hotelu, Polki studiujące w Madrycie, na objazdówkę po północnej części wyspy, po której następnego dnia śpiewali bez przerwy: conductor machito, sialala lala la.

Prom na Minorke wypływa z Port d'Alcudia, położonego jakieś 60 km na wschód od Palmy. Koszt biletu w obie strony liniami Iscomar to 55 EU. Rejs trwa 3,5 godziny. Balearia też obsługuje te linie szybszymi promami, ale za 100 EU i kursuje tylko w wybrane dni. Przybijamy do Ciutadelli, dawnej stolicy wyspy koło godziny 11 przed południem. Już z pokładu widać latarnię morską przy wejściu do portu i wieżę strażniczą. Niestety nasz prom nie wpływa do zatoki portowej, ale przybija do mariny położonej jakieś 2-3 km od miasta. Stąd na piechotę ruszam na zwiedzanie Ciutadelli. Ciekawie wygląda zwłaszcza przyportowa dzielnica. Trafiam też na dworzec autobusowy, by wy badać sprawę dotarcia do innych zakątków wyspy, ale wiele autobusów kursuje dopiero od czerwca, a pozostałe jeżdżą jedynie 2-3 dziennie. Decyduję się zatem pojechać da drugi koniec wyspy, na wschód do Mao, które jest jej obecną stolicą.

Mao (Mahon) słynie ze wspaniałej destylarni dżinu, gdzie można skosztować bezpłatnie znakomitych trunków, czego nie mogę sobie odmówić. Miasto znane jest też z majonezu, którego nazwa wywodzi się właśnie od tej miejscowości. Niedopasowanie czasowe z rozkładem jazdy nie pozwoliło mi na dotarcie autobusem do zachwalanej, małej i uroczej Binibeki, która została zaprojektowana przez jednego z ciekawszych hiszpańskich architektów i posiada podobno niesamowity klimat. Może jeszcze kiedyś nadarzy się okazja.

Nie chcąc ryzykować spóźnienia na prom udaję się na dworzec, gdzie okazuje się jednak, że mój autobus odjechał 15 temu według zmienionego niedawno rozkładu, o czym jest ponoć wzmianka po hiszpańsku na dole tablicy. Jadąc kolejnym za 3 kwadransy będę w Ciutadelli 15 minut przed odpłynięciem promu, a złapanie i dojazd taksówką to minimum 10 minut, więc ryzyko, że zostanę na kolejny dzień na Minorce było duże. Szukając jakiegoś rozwiązania wsiadłem już nawet do taksówki decydując się na wydanie ok. 50 EU za dojazd, ale niestety nie miałem już tyle przy sobie, a kartę kredytową nieopacznie zostawiłem w hotelu. Próbowałem się nawet dodzwonić na numer infolinii mojego promowego przewoźnika, by poinformowali obsługę, że jeden z pasażerów może się spóźnić kilka minut i by na niego czekali, ale nikt nie odbierał. Miałem przy sobie niecałe 20 EU, więc pomyślałem, że może wysiądę gdzieś niedaleko Ciutadelli, złapię taksówkę i stamtąd nadgonię te kilka minut, które pozwolą mi być może w ostatniej chwili, ale jednak zdążyć na prom. Poprosiłem też kierowcę autokaru, by dał radę trochę przyspieszyć, ale nie wziął sobie tego zbyt do serca, bo jechał cały czas przepisowo, czyli maksymalnie 50 km/h.

Ostatecznie dotarliśmy do Ciutadelli o 19.15, w 2 minuty dobiegłem do

postoiu taksówek, który wcześniej widziałem spacerując po mieście. Poganiając kierowcę w 5 minut dojechaliśmy do przystani promowej. W 3 minuty przez terminal dobiegłem pod prom, który właśnie luzował liny szykując się do odpłynięcia. Na szczęście bez zbędnych procedur rzutem na taśmę wpuszczono mnie na pokład, choć normalnie trzeba się stawić najpóźniej pół godziny przed wypłynięciem, a nie pół minuty jak to było w moim przypadku. No nie wiem, czy nie wyczerpałem w ten oto sposób limitu szczęścia na jakiś czas. Gdy zeszło ze mnie powietrze, strzeliłem sobie zimne piwko i zapadłem w dziwny stan letargu. Z jakimże szczęściem ujrzałem na przystani w Port d'Alcudia moich kupli, którzy przyjechali mnie odebrać. Mało brakowało, by jechali i czekali po nocy na daremnie. I tak mieliśmy kolejny pretekst, by oddać się swawolnemu melanzowi. Waranos companieros.

Ostatni dzień na Majorce to krótki wypad na zachodnie wybrzeże, bo spłukani zaczęliśmy liczyć każde euro, a w baku było pusto. Zatankowaliśmy jednak za 10 EU, co nam wystarczyło, by pojeździć jeszcze trochę po okolicy i nad ranem dojechać na lotnisko. Zajrzeliśmy między innymi do Sant Elm, najbardziej wysuniętej na zachód miejscowości Majorki z widokiem na malutką wysepkę z trzema latarniami morskimi. Zatrzymaliśmy się też na chwilę w Port d'Andratx, ale polecana przez panią z biura informacji mała, urocza plaża okazała się kamienistym zaułkiem położonym pod wielopiętrowym, okropnym hotelem. To nie nasze klimaty, dlatego udaliśmy się na północ, w kierunku Estelencs. Tam znaleźliśmy ładną zatoczkę, ale silny wiatr nie zachęcał do kąpieli, tworzył natomiast na szafirowej wodzie ciekawe efekty, marszcząc wodę, kłębiąc się w kółko, odbijając się od otaczających skał i jakby zamiatając powierzchnię morza.

Na obiad zatrzymaliśmy się w Esporles, małej miejscowości, w której zjedliśmy smaczne Menu Dia za 7,5 EU. Jadąc górskimi serpentynami, zerkając po raz ostatni na góry Serra de Tramuntana i nadmorskie krajobrazy, zauważyliśmy, że już nas niewiele zachwyca, jakbyśmy wszystko już widzieli. Zaczęły nas nudzić zatoki, lazur morza, wieże strażnicze, latarnie morskie, wspaniałe góry. Oznaczało to jednoznacznie, że czas wracać do domu.